



Andrzej Świrski

D

królowkach

pastuszkach i smokach

Basnie polskie

O królewnach, pastuszkach i smokach

Andrzej Sarwa

O królewnach, pastuszkach i smokach

baśnie polskie

Armoryka
Sandomierz 2010

Tekst: Andrzej Sarwa

Redaktor: Władysław Kot

Projekt okładki: Juliusz Susak

Na okładce: Sophie Gengembre Anderson (1823–1903), *Shepherd Piper* (1881), (licencja: public domaine),
źródło: http://commons.wikimedia.org/wiki/File:Anderson_Sophie_Shepherd_Piper_1881.jpg

Copyright © 2010 by Wydawnictwo „Armoryka”

Wydawnictwo ARMORYKA

ul. Krucza 16

27–600 Sandomierz

tel 15 833 21 41

e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl

<http://www.armoryka.strefa.pl/>

ISBN 978–83–62173–53–2

Bajka o chłopie, smoku, lisicy i kurach

Dzionał był piękny. Pożłocista słoneczna kula leniwie wspaniała się ku zenitowi firmamentu, który błękitnym baldachimem, nie splamionym nawet jedną chmurką rozpinał się nad ziemią.

Po polnej, wyboistej drodze, wzniesionym obłoczkami kurzu, sunęła z turkotem drewnianych, okutych żelaznymi obręczami kół, furą ciągnięta przez starą, kościstą kobyłę.

Na furze zaś siedział, rozparty na snopku żytniej słomy przykrytym połataną derką, niestary jeszcze chłop. Nucił coś pod nosem i uśmiechał się z zadowoleniem sam do siebie, od czasu do czasu zagadując do kobyły:

- No i cóż stara? Pięknie się dziś sprawiliśmy. Jeszcze się jarmark na dobre nie zaczął, a my już jesteśmy pozbyli się wszystkiego, co było do sprzedania i kupili wszystkiego, co było do kupienia.

Z lubością zważył w dłoni spore zawiniątko groszaków, pobrzękując z cicha monetami.

Kobyła nie zwracała nań wcale uwagi i nisko opuszczając wielki łeb ciągnęła furę z mozołem.

- Pewnie na południe wrócimy do chałupy. A to się stara zadziwi! No i pewnością pochwali za to, że taki obrotny. A może i nie pożałuje omasty?... - rozmarzył się w głos.

- Wiesz co? - zagadnęła kobyłę. - Jeśli dzisiaj baba okraszy mi kaszę skwarkami to dam ci pięć garści owsa. Niech stracę!

Kobyła obróciła na te słowa swój kanciasty łeb ku mówiącemu i - już, już otwierała pysk, jakby mu chciała za ową obietnicę po-

dziękować, ale nie zdążyła, bo chłop się zmytygował i rzekł:

- No, pięć garści to może nazbyt wiele, ale na dwie garstki, mo-
zesz liczyć.

Po obu stronach krętej, wąskiej dróżki ciągnęły się od horyzon-
tu po horyzont pola bezkresne. Łany żyta, kłoniąc kłosa pod cięża-
rem dojrzewającego ziarna, w podmuchach łagodnego wietrzyku
falowały niczym powierzchnia morskiej toni. Od zagonów koniczy-
ny smużył się słodkawy zapach kwiecica, a uszu dobiegało miłe
brzęczenie pszczół pracowicie spijających nektar.

Minął kęs czasu i pola ustąpić musiały przed zwartą ścianą
boru, pośród którego, wychylając się wysoko ponad wierzchoł-
ki najroślejszych nawet sosen, tkwiło skaliste wzgórze. Ze
wzgórza tego tryskało źródło krystalicznej wody, przelewającej
się między oślizgłymi i chłodnymi głazami, zbiegającej po po-
chyłości w dół, a później cienkim strumyczkiem wijącej się
pomiędzy drzewami i ginącej kędyś hen, w zielonkawym pół-
mroku gęstwiny.

Ucichł turkot kół na wybojach, gdy furka wtoczyła się na leśną
drogę, grubo wysłaną opadłymi, zrudziałymi igłami sosen.

Chłop nie lubił lasu. Półmrok, cisza i powaga boru nieśmiały
go. Ujął więc krzepiej lejce i już, już zamierzał się batem, aby po-
naglić kobyłę do szybszego marszu, gdy jego uszu dobiegł jakiś
dziwny odgłos. Zrazu zdało mu się, iż to skrzypienie starego stu-
dziennego żurawia, lecz rychło skrzypienie przerodziło się w ryk
potężny i rozpaczliwy.

Splunął chłop po trzykroć, aby odegnać nieszczęście i mruknął
sam do siebie:

- A cóż to za licho?

Im bardziej zbliżał się ku skalistemu wzgórzcu, ryk ów narastał,
potężniał, odbijał się echem od kolumnady pni.

- A cóż to za licho? - ponownie wyszeptał chłop.

Nie miał jednak czasu, by dłużej zastanawiać się nad tym, bo-
wiew kobyła wyminawszy zakręt, wyjechała na prosty odcinek le-

śnej drogi, biegnący u stóp skalistego zbocza. I wtedy chłop znalazł się oko w oko ze... smokiem.

Gad był potężny, przypominał wyglądem ogromną jaszczurkę. Okrywała go szarozielona łuska. Na łbie miał narośl w kształcie rogu, a u łap potężne pazury, zdolne rozerwać wołu.

Smok miotał się wściekle, aż zrył i stratował znaczną połąć dróżki, poobdzierał korę z sosen rosnących w pobliżu, połamał krzewy i ryczał. Przerażliwie ryczał, a gdy zmęczył się, stękał ciężko, bądź wydawał odgłos przypominający skrzywienie studziennego żurawia.

Ściągnął chłop lejce i kobyła posłusznie stanęła, a później począł z zaciekawieniem przyglądać się bestii. Wnet wypatrzył, iż wielki kawał skały oberwawszy się, spadł z wysokości i przygniótł ogon przechodzącego akurat tamtędy smoka.

Chociaż w pierwszym odruchu - na widok potwora - pomyślał o ucieczce, zoczywszy, iż ów jest uwięziony, zaniechał tego zamiaru i został.

Smok na widok chłopca ucichł i znieruchomiał. Wpatrywał się weń swoimi wyłupiastymi oczyma dość długo, a później przemówił ludzkim głosem:

- Ach, co za szczęście, żeś tędy przejeżdżał, chłopie! Wielkie szczęście! Nie uciekłeś na mój widok, a to znaczy, iż odważne masz serce. Barczysty jesteś, ręce masz krzepkie, pewnie zdołasz dźwignąć kamień, który spadł na mój biedny ogon? Myślę, że to dla ciebie fraszka?

- A pewnie! - odparł chłop, którego próżność smok połaskotał mile.

- Ach, więc uczynić to, mój przyjacielu, uczynić! Uwolnij starego, biednego smoka, a zobaczysz co ja uczynię w zamian! W tobie jedyna moja nadzieja na wybawienie! Nie odmawiaj mój miły przyjacielu! Nie odmawiaj! Bardzo, bardzo proszę!

Chłop litościwie miał serce i nie dał się długo błagać. Zeskoczył z furki odpręgnął kobyłę i wzięwszy dyszel, podważył nim skałę, aby smoka uwolnić.

Ale niełatwa to była sprawa. Kamień był bardzo ciężki. Napinał chłop mięśnie ze wszystkich sił, tak iż zdawało się, że lada chwila popękają. Pot lał mu się z czoła, a przed oczyma - z wielkiego wysiłku - przelatywały ciemne pląty.

Sporo czasu minęło, nim trochę siłą, a trochę sprytem, podźwignął kamień na tyle, iż smoczysko mogło wyszarpnąć spod niego swój ogon.

Chłop i smok przysiedli naprzeciw siebie po dwu stronach drogi. Smok dmuchał na ogon i chłodził go wodą wypływającą ze skały, chłop znowu obcierał pot połą koszuli i ciężko łapał powietrze. Tylko kobyła obojętna na wszystko co się działo, spokojnie obgryzała gałązki jakiegoś krzewu.

Gdy odpoczęli obaj, gad ozwał się do chłopca w te słowa:

- Ach, mój przyjacielu, to jeszcze nie koniec wszystkich moich zmartwień. Od jednego mnie uwolniłeś, podważając skałę. Lecz jeszcze drugie doskwiera.

- A jakież to zmartwienie, paskudo?

- Nie mów tak do mnie - smok skrzywił się szpetnie. - Nie lubię, gdy ktoś brzydko mnie nazywa. Pytałeś o me drugie zmartwienie? Cóż - westchnął ciężko - cóż, głodny jestem. Od wczorajszego wieczora kęsa strawy nie miałem w paszczy, a oto już południe się zbliża.

- Daruj, panie smoku - odpowiedział chłop na to - ale nie będę ci mógł pomóc. Co mogłem, to dla ciebie uczyniłem. Teraz jednak, sam będziesz musiał zatroszczyć się o swój brzuch. Miałem skibkę chleba, co to mi ją baba rano naszykowała, ale ją zjadł na jarmarku.

- Chleb! - smok skrzywił się z pogardą. - Chlebem można co najwyżej pozaklejać dziury w zębach, a mnie - tu się oblizał szybko - mięsa trzeba.

- A skądże ja ci wezmę mięsa?! - zakrzyknął chłop.

Gad skończył już z udawaniem grzecznego, szpetnie zazgrzytał, zionął ogniem i z gniewem zakrzyknął:

O uczniu czarnoksiężnika

Przed wielu, wielu laty, tak dawno, iż nikt już nie pamięta kiedy się to działo, w niewielkiej wioszczynie zagubionej wśród bezkresnych pól, żył pewien świniopas. Mieszkał wraz z matką, która dla zarobku najmowała się bogatym gospodarzom do roboty w polu.

Świniopas oczywiście nie zajmował się własnymi zwierzętami, jakże bowiem byłoby go na nie stać, skoro cały jego majątek stanowiły zgrzebne portki i takąż koszula. Strzegł stada nierogacizny, którego sztuki należały do rozmaitych właścicieli, a najwięcej do opasłego młynarza.

Pewnego czerwcowego ranka, gdy słońce ledwie wychyliło skrawek swojej tarczy spoza widnokregu, a wróble gnieźdzące się pod strzechą rozpoczynały kłótnie, nasz pastuch zamiast zwlec się z posłania i ruszyć do roboty, jak to nieodmiennie czynił co dnia, czy był to piątek czy świątek, tym razem obrócił się tylko na drugi bok i na powrót pogrążył we śnie.

- Wojtuś! Wojtuś! - matka delikatnie potrząsnęła go za ramię. - Wojtuś! Czyś chory? Powiedz mi syneczku. Boli cię co? Hę? Może ci zaparzyć mięty, albo dziurawca?

- Dajcie mi spokój matko. Nic mi nie jest.

- O la boga, la boga! - zajęczała kobieta. - To czemu nie wstajesz?! Dyć stracisz robotę przy świniach, coś ją z takim trudem zdobył.

Próbował Wojtek spać dalej, ale biadolenie matki nie pozwoliło mu na to. Wreszcie, zgniewały go owe jęki, usiadł na posłaniu i rzekł z irytacją:

- A to stracę! I cóż, że stracę! Ale mi też szczęście! Cięgiem tego chrząkającego świństwa pilnować! Otóż oświadczam wam matko, że mam dość i więcej wieprzów pasać nie będę!

- Cóż więc syneczku będziemy jedli? Teraz nam obojgu często burczy w brzuchach, a co dopiero, kiedy nie przyniesiesz swojej zapłaty?! O la boga! la boga! - zajęczała znowu.

- Nie turbujcie się matko. Dajcie mi trochę czasu, a ja przecie coś mądrego wymyślę.

- O jej, jej! Jeszcze nikt się myśleniem nie najadł! Za robotę się weź, za uczciwą, a nie za myślenie! Och! Po cóż cię ksiądz jego-
mość liter na książce wyuczył?! Przez ową książkę to wszystko i przez owe litery!

- A żebyście wiedzieli, matko, że przez owe litery to wszystko. Mądry człowiek prędzej do majątku przyjść może, niż ciemny. I nie oplatajcie bodaj czego, że myśleniem nikt się nie najadł, bo jest akurat przeciwnie.

Więcej się już Wojtek nie odezwał, chociaż matka nie ustawała w biadoleniu. Dziwił się tylko w duchu, iż ma na to tyle sił i cierpliwości.

Odtąd włóczył się chłopak każdego dnia, nie bacząc na to czy pogoda piękna, czy pochmurno i deszcz. Włóczył się wśród pól, zapuszczał do lasu, szumiącego konarami stuletnimi z pół wiorsty za wsią.

Tak minęło kilka niedziel. Aż tu naraz któregoś ranka, zanim jeszcze koguty przestały piąć budząc się ze snu, a szary brzask ledwo rozświetlał nieboskłon, porwał się Wojtek z posłania, czym prędzej przyodział, obmył dłonie i twarz w konwi z wodą, zjadł parę łyżek wystygłej kaszy, której zostało z poprzedniego dnia i jął szarpać matkę:

- Wstawajcie, matuś, wstawajcie!

- Cóż ci to się stało synku, że mnie budzisz tak wcześnie?
- Zaraz mi się musiało coś stać? Wy o jednym tylko myślicie! Wstawać trzeba, bo daleka droga przed nami, a im prędzej wyjdziemy z chałupy, tym wcześniej dotrzemy do celu.
- Jaka droga?! O czym ty pleciesz? Dokąd mamy iść? Nicesz wczoraj nie mówił!
- Bom wczoraj nie był całkiem pewien, iż winienem to uczynić, com wymyślił.
- A dzisiaj jesteś?
- A dzisiaj tak!
- Więc mi powiedz, czegoś to taki pewny?
- A zatem posłuchajcie. Pomyślałem sobie, iż najlepiej będzie, jeśli wyuczę się na czarnoksiężnika. Taki to ma słodkie życie! Wypowie zaklęcie i już przed nim stół pełen jadła i napitków! Wypowie inne, a złote pieniądze sypią się z sufitu! Musicie matko, zaprowadzić mnie do czarnoksiężnika i poprosić, aby wziął mnie w termin.
- Oj synku, syneczku! A czyż nie wiesz, że czary uprawiać do grzech ciężki?
- Ej, matuś! Czary czarom nierówne! Ja nie myślę ludziom szkodzić, cudzą krzywdą się tuczyć.
- To teraz tak mówisz, a cóż będzie później? Pamiętaj co mądrzy ludzie powiadają: „Kto przez błoto przechodzi, choćby i najostrożniej, zawsze buty pobrudzi”. Toż samo i z tobą będzie!
- Długo chłopak tłumaczył, a przekonywał, zanim nakłonił matkę, aby go jednak do czarnoksiężnika zawiodła. Wszakże, ruszając w drogę, rzekła mu, iż czyni owo tylko dla świętego spokoju. Wędrowali i wędrowali. Dzień przechodził za dniem, a noc za nocą. Próżno pytali ludzi w mijanych wsiach, którądy najbliższej będzie do czarnoksiężnika. Nikt nie wiedział.
- Dawno już matce i synowi skończyły się skromne zapasy jakie zabrali ze sobą, więc musieli prosić, aby ich kto nakarmił, co nie zawsze się udawało, dlatego też po wielokroć w owej podróży burczało im z głodu w brzuchach.

Matka niejedną raz mówiła:

- Wróćmy się, Wojtuś, do chałupy. Sam widzisz, że się pewnie nie uda do czarnoksiężnika trafić.

Ale chłopak kręcił głową i nieodmiennie odpowiadał:

- Jeszcze dzień. Jeszcze chociaż dzień.

Nareszcie któregoś wieczora, gdy znaleźli się na zupełnym pustkowiu i widząc, iż żadną miarą nie zdążą do pobliskiej wsi przed zmrokiem, jeśli rozglądać się, gdzie by tu można głowę skłonić a odpocząć, i przypadkiem natknęli się na szałas owczarza.

- Dokąd to wędrujecie? - zapytał ich staruch.

A gdy mu wszystko opowiedzieli, swój zamiar wyłuszczyli, ozwał się w te słowa:

- Macie szczęście, żeście mnie spotkali bo ja znam drogę do siedliska czarnoksiężnika.

- Dalekoż to stąd? - zainteresował się Wojtek.

- Jużecie są nader blisko. Dzień, no może półtora, dnia drogi, a będziecie na miejscu.

- A jakież ten czarnoksiężnik? Srogi?

- E tam! Czarnoksiężnik, jak czarnoksiężnik. Zwyczajny. A srogi to jest tylko wtedy, gdy mu kto za paznokcie zalezie.

- A zechce mnie wyuczyć swej sztuki? - z zaciekawieniem spytał Wojtek.

- Może zechce, a może nie. Wszystko zależy od tego, czy będzie miał humor, czy mu się spodobaś i czy będziecie umieli prosić. Ale teraz chodźmy już spać, bośmy wszyscy utrudzeni srodze.

* * *

Noc minęła szybko, jak to z letnimi nocami bywa. Rankiem zaś babina wraz z Wojtkiem ruszyli w dalszą drogę. Wędrowali przez dziką okolicę, pełną ugorów zarosłych chaszczami, zagajników i bagien.

Wreszcie dotarli do starego dębowego lasu, który porastał strome zbocza dość wysokiego wzgórza, na szczycie którego wznosił się zamek czarnoksiężnika.

Zastukali do bramy i oto sama, zupełnie bezszelestnie, otworzyła się na całą szerokość. Pośrodku dziedzińca stał niepozorny człowieczek. Trudno orzec - karzeł czy też bardzo niski. Długie włosy, smoliście czarne niczym skrzydło kruka, opadały mu na plecy i ramiona, zaś broda tej samej barwy skrywała pierś.

Mężczyzna odziany był w obszerny płaszcz z cienkiej czarnej materii całej zahaftowanej w srebrzyste i złociste gwiazdy, księżycy oraz jakoweś tajemnicze symbole i znaki. Na głowie miał czapkę spiczastą krwistoczerwonego koloru, a w upierścienionej dłoni dzierżył krótką laseczkę dziwacznie jakoś poskręcaną.

- Czego tu szukacie?! - zapytał niskim, chrapliwym głosem.

Babina, którą na widok czarownika ogarnął lęk tak srogi, że zaczęły drzeć jej łydki, włosy podniosły się na głowie, a rozszalałe serce omal nie wyskoczyło z piersi, padła na kolana, wyciągnęła ręce w błagalnym geście i płaczącym głosem zawołała:

- O! Miłościwy panie czarnoksiężniku! Przyszłam cię uniżenie prosić, żebyś wziął mojego Wojtusia do siebie na naukę. Żebyś go swojego fachu wyuczył.

Zaśmiał się czarownik dziwnie jakoś niemiło i rzekł:

- Śmiałości ci nie brak, babo! A czy wiesz, że gdybym chciał, to mógłbym was oboje zakląć w przedmioty albo li też w zwierzęta?

- A cóż by ci z tego przyszło, panie?! - ozwał się milczący dotąd Wojtek.

- Mądre pytanie! - pochwalił go czarownik. - Ponieważ nic by mi z tego nie przyszło, więc was nie zaczaruje. Widzę, że bystry jesteś, chłopcze. Może i warto byłoby cię mojej sztuki wyuczyć?

- O! Tak! Pewnie, że warto! - podchwyciła baba.

- A zatem obstajesz przy tym, żebym twego Wojtka wziął do siebie w termin?

- Weźcie go, weźcie, miłościwy czarodzieju.

- Ba! Ale ile mi za naukę zapłacisz?!

Ani Wojtek, ani jego matka na taki obrót sprawy nie byli przygotowani, toteż posłyszawszy owe słowa, spojrzeli po sobie, a później ze wstydem opuścili głowy.

- Nie mamy ani pół grosika - wyszeptwała baba. - Pójdźmyż Wojtuś nazad do domu. Widzisz, że nie pisane ci było wyuczyć się zaklęć?

Chłopak błagalnie spojrzął na czarownika. Ów zaś chrząknął i tak powiedział:

- Hm, cóż. Widzę, że bardzo pragniesz zostać moim uczniem. Mogę wziąć, cię na rok, pod warunkiem, że po tym terminie matka da mi osiem złotych dukatów, albo zgodzi się, bym ją poddał pewnej próbie.

- A jakaż to próba! Będziesz tylko musiała pośród wszystkich stworzeń, jakie wówczas znajdują się w moim zamku, rozpoznać pod postacią którego kryje się twój syn.

Chciała baba odmówić, ale Wojtek począł ją całować po rękach, prosząc:

- Zgódźcie się matuś! Zgódźcie! Toż to jedyna nadzieja dla mnie, a i dla was też. Jak się nauczę czarować, to już nigdy biedy nie zaznamy.

- A jak cię na zawsze utracę, synku?

- E tam! Wy ciągiem tylko o najgorszym myślicie! Czemuż to zaraz mielibyście mnie stracić, no czemu?

- Boję się!

- To się przestańcie bać!

I został Wojtek w zamku, matka zaś wróciła do rodzinnej wsi.

* * *

Odtąd dni upływały chłopakowi na wytężonej pracy. Uczył się, i uczył, i uczył. Od świtu, aż po zmierzch. A jeśli coś z zadanych lekcji nie weszło mu do głowy, czarownik prał go bez miłosierdzia grubym powrozem namoczonym w occie.

W miarę jak przemijały tygodnie i miesiące, Wojtek stawał się coraz mądrzejszy, umiał już gadać, czytać i pisać po łacinie i grecku, po hebrajsku i arabsku. Znał drogi gwiazd i planet, właściwości ognia, wody i powietrza, metali, soli i kwasów. Znał się na truciznach i znał się na lekach. Słowem zrobił się zeń całkiem dobry czarnoksiężnik.

Nie wiadomo wszakże czy byłby to wszystko wytrzymał, bo nauka była bardzo trudna, nie zawsze wchodziła do głowy tak szybko jak mistrz oczekiwał, a zatem powróż nie próżnował, znacząc plecy krwawymi pręgami.

Sił do wytrzymania dodawała Wojtkowi... śliczna dziewczyna, córka nauczyciela. Na imię miała Niezapominajka i była zupełnym przeciwieństwem swego ojca: Włosy miała złote, a oczy błękitne niczym chabry rosnące wśród pszenicy. Usta koralowe, szyję smukłą i delikatne dłonie.

Pokochał ją chłopak całym sercem, a ona pokochała jego.

Nieraz gdy czarnoksiężnik opuszczał zamek, udając się - w sobie tylko wiadomych sprawach - między ludzi, młodzi lubili przechadzać się po pięknym dębowym lesie, porastającym całe wzgórze.

Lubili snuć plany na przyszłość i oddawać się słodkim roje-
niom, jak to też będzie im ze sobą dobrze, gdy w przyszłości się pobiorą.

Ojciec dziewczęcia nader niechętnym okiem patrzył na przyjaźń młodych, częstokroć mawiając do Wojtka:

- Wybij sobie z głowy ożenek z moją córką! Nie dla psa kielbasa, nie dla kota szperka. Nazbyt wysoko sięgasz. Czy myślisz, że nie stać mnie na lepszego męża dla Niezapominajki?

- Kogo macie na myśli, panie? - pytał chłopak.

- A choćby mistrza Dalmasa! Ma co prawda sto dwadzieścia lat, a moja córka dopiero szesnaście, ale za to jest bogaty! Och, jaki bogaty! A na czarach zna się lepiej niż ja i ty i wszyscy czarownicy w tym kraju razem wzięci. Podobno uczył się był w swej młodości

w Arabii, Indiach i Tybecie. Powiadają, iż zawadził również o Chiny, ale osobiście w to nie wierzę.

- A jeśli wasza córka mnie kocha?

- To i cóż? Kocha, kocha i przestanie. A przy Dalmasie będzie jej lepiej niż przy tobie. Zresztą o sobie samym teraz pomyśl. Oto ledwie kilka dni, a minie rok, odkąd przybyłeś na naukę. Niedługo przybędzie tu twoja matka. Jeśli nie ma dukatów, to musi rozpoznać cię pod zmienioną postacią. Jeśli zaś jej się to nie powiedzie, już do końca życia nie przywrócę ci ludzkich kształtów! Ha! Ha! Ha!

Słyszac to Wojtek przeraził się ogromnie. Począł ze strachu drzeć na całym ciełe, a zimny pot uperlił mu czoło. Popatrzył nań czarnoksiężnik z ironią i rzucił na odhodnym:

- A trzęś się, trzęś. Nic ci trzęsienie nie pomoże.

I od tej pory, aż do chwili w której miała zjawić się matka, chłopic nie zaznał spokoju. We dnie nie mógł sobie znaleźć miejsca w bezsenne noce rzucał się z boku na bok w wielkim łozu na puchowej pościeli, próżno próbując pograćzyć się w otchłań niepamięci i choćby przez kilka godzin nie myśleć o tym co go czeka.

Świtało. Ptaki dopiero budziły się, rozpoczynając swe poranne pacierze w konarach drzew dębowego lasu. Mgła smużyła się u stóp wzgórza, rozpełzając się po całej okolicy.

Gdy bardziej pojaśniało i słońce wychyliło się spoza widnokregu, barwiąc nieboskłon purpurą i złotem, stara kobieta z podróżnym kosturem w dłoni, zastukała do bramy zamczyska, a gdy owa uchyliła się z przeraźliwym skrzypieniem, nieśmiało weszła na rozległy dziedziniec. I wówczas jej uszu doleciał szept:

- Nie oglądajcie się kobieto. Pilnie słuchajcie co wam rzeknę. Jestem Niezapominajka, córka Czarnoksiężnika i chcę wam pomóc, bo bez tego nigdy nie rozpoznacie swego syna. Pamiętajcie o jednym. Co byście nie ujrzeli, wasz syn kryje się pod postacią wielkiego koguta. Niech was nic nie zmyli. Pamiętajcie! Kogut!...

- Zatem żegnaj ojczyznę. Odchodzimy - ozwała się dziewczyna. - Jeśli kiedyś porzucisz czary, wiedz, iż w naszym domu zawsze się dla ciebie kąpiel znajdzie i łyżka stawy.

* * *

Z jaką radością stara matka przywitała młodych. Jak się cieszyła na wieść o ich rychłym ślubie!

- Nareszcie, syneczku. Nareszcie zmądrzałeś! I cóż ci z tej nauki przyszło? Przyznajże mi rację, iż myśleniem nikt się jeszcze nie najadł!

- O, co to, to nie! Umieć wiele, wiedzieć wiele, toż to szczęście! Mądryemu łatwiej żyć, niż ciemnemu prostakowi. Co innego jednak znaczy posiąść wiedzę, a co innego mądrze ją spożytkować. Ja jej użyłem źle i zostałem za to ukarany. I zobaczycie, iż rychło - dzięki wiedzy - stanę się najbogatszym gospodarzem we wsi, bo wiem to, czego inni nie wiedzą, że sama mądrość, i wiedza bez pracy nijakiego pożytku nie przyniosą. Toteż będę również ciężko pracował.

- A ja ci będę zawsze pomagać - dorzuciła Niezapominajka.

Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle

Zmierzchało. Złocistoczerwone słońce ogromną kulą, od której snuły się szkarłatne refleksy, szeroko rozlewając się po niebie, zawisło tuż nad horyzontem.

W czuprynach rosochatych wierzb wróble wrzeszczały przeraźliwie, szukając najlepszych miejsc na nocleg.

Powietrze szarzało, a srebrzyste krople rosy osiadały na żdźbłach traw, łądygach ziół, na płatkach kwiatów.

Krowy porykując od czasu do czasu, wracały do zagród. Kury wygodnie rozsiadłszy się na grzędach, pozwieszały głowy pogrążone we śnie.

Chałupa Macieja i jego żony Anieli stała na skraju wsi w pobliżu parowu o zboczach porośniętych zwartym gąszczem dzikich róż, tarniny, czarnego bzu i głogu, oplątanych giętkimi witkami jeżyn i dzikiego chmielu.

Dnem wąwozu płynął wążuchny strumyk, ot, taki, że i dziecko mogło by go przeskoczyć. W gęstej trawie poprzetykanej żółtymi jaskrami i drobnymi kępami modrych niezapominajek, siedziały żaby, niekiedy wskakując do wody, w której poruszały się zwinnie, szybko wiosłując łapami.

Chałupa Macieja zbudowana była z cegły spojonej glinianą zaprawą. Glinianym tynkiem też ją powleczono z zewnątrz i od środka, a wybielono wapnem z domieszką niebieskiej farby, tak że biel miała lekkuchno błękitnawy odcień.

Okienka były maleńkie, przekreślone na krzyż drewnianymi ramami, w które wstawiono błyszczące szybki. Do koślawych drzwi wejściowych podchodziło się trzema równie koślawymi schodkami, zbitymi z nieheblowanych desek sosnowych.

Pierwszym pomieszczeniem była sień, z której wiodło dwoje drzwi do dalszych izb.

Główna z nich strop miała niski, belkowany i poczerniały ze starości z wyrzezanym napisem: „*Boże, błogostaw temu domowi*” i datą: 1757.

Zamiast podłogi była gładka gliniana polepa, wymieciona do czysta. Tuż przy jednej ze ścian tkwił wielki, również pobielony wapnem, piec chlebowy, spełniający jednocześnie rolę pieca kuchennego, na którym gotowało się posiłki.

Środek pomieszczenia zajmował masywny dębowy stół, obok którego stały ławy i jedno krzesło. Umieblowania dopełniała sosnowa prosta szafa, pękaty kufer okuty żelaznymi obręczami, podwójne małżeńskie łóże i kilkanaście obrazów pozawieszanych na ścianach.

Jeden z nich wyobrażał Świętą Rodzinę, drugi świętego Stanisława Kostkę, jeszcze inny Pana Jezusa z otwartym sercem.

Ponieważ na dworze pociemniało i w izbie zrobiło się mroczno, Aniela zapaliła lampę naftową, stawiając ją na środku stołu.

Żółtawy poblask wypełnił izbę, a wielkie, migotliwe cienie jeły się kłaść na ścianach.

Aniela wyszła przed chałupę.

- Macieju! Mój złoty, kończ ze tę robotę na dziś. Ogarnij się, obmyj i przychodź na wieczerzę.

Maciej tedy dokończył co miał zaczętego przy obrządzaniu zwierząt - krów, konia, świń - i pomaszerował do chałupy.

W dużej glinianej misie dymiła ciepła woda, w której z lubością zanurzył spracowane ręce, a potem dokładnie obmył twarz, uszy i szyję.

Wycierając się lnianym, nieco już podniszczonym, ręcznikiem wesoło podśpiewywał, zadowolony z żony, zadowolony z siebie, z pracowicie spędzonego dnia i z tego, że im nie brakowało bożego błogosławieństwa.

Kiedy usiadł przed talerzem wypełnionym po wręby smakowicie pachnącą zalewajką, w której pływały duże, tłuste skwarki, przeżegnał się zamasyście, rad że nie musi - jak tylu innych - układać się do snu z pustym brzuchem.

Siorbiąc zupę, którą nabierał na drewnianą łyżkę, z lubością spoglądał na żonę, którą kochał jak samego siebie, chociaż - co mu dość mocno doskwierało - nie dała mu jak dotąd potomstwa.

„- Ale - myślał sobie - może i na to przyjdzie kiedyś czas? Może i w tym nam Pan Bóg pobłogosławi?”

Jak zatem widzisz, drogi Czytelniku, tak Maciej, jak i Aniela byli ludźmi szczęśliwymi, którym los sprzyjał i wiodło się dobrze. Na ich twarzach częstym gościem był uśmiech, a w sercach rozdzwaniała się radość.

Przecie jednak nie ma tak dobrze na tym świecie, aby wszystko i zawsze układało się gładko.

U Macieja bowiem i Anieli, mimo że żyli zgodnie i uczciwie, usadowił się za piecem i mieszkał tam już od siedmiu lat, największy nieprzyjaciel rodzaju ludzkiego, jakim jest diabeł.

Kiedy sprowadzał się do chałupy naszych przyjaciół, wydawało mu się, że rychło nakłoni ich do grzechu, do gniewu, awantur i kłótni - słowem do obrazy boskiej.

Jak nam wiedzieć wypada, każdy diabeł karmi się złem i jeśli znajduje go dość naokoło siebie, jeśli ludziska, wśród których krąży, popełniają występki, miewa się dobrze. Jest tłusty, a i pysk ma okrągły i błyszczący, wypielegnowane kopyta i pazury.

Jeśli jednak ludzie żyją po bożemu, cierpi diabeł srogi niedostatek. Chudnie, kudły mu linieją, a czasem wręcz wypadają całymi garściami. Wzrok robi mu się mętny, białka oczu przekrwione, kopyta popękane i łuszczące się, połamane szpony, a zęby chwieją się w pysku.

Jak rzekłem wcześniej, diabeł siedział u Macieja i Anieli na zapiecku przez siedem lat, wciąż oczekując, że grzech zagości pod ich dachem. Przecież doczekać się nie mógł.

Wychudł tedy i szcerniał tak, że przykro nań było patrzeć. A ze słabości ledwie mógł się utrzymać na nogach.

Kiedy zatem małżonkowie podjadłszy sobie zalewajki odmówili wieczorne pacierze i ułożyli się do snu w wielkim łożu pod kopiącą pierzyną, na miękkich puchowych poduchach, wylazł diabeł zza pieca, westchnął ciężko, splunął z obrzydzeniem na środek izby i wysunął się na dwór przez dziurkę od klucza.

- Nic tu po mnie, psia mać - burknął pod nosem. -Trzeba ruszyć w świat, by nowej, zacieńszej jakiejś stancji poszukać.

Ogromny, błękitnosrebrzysty księżyc majestatycznie wypłynął na nieboskłon. Na granatowej opończy rozpostartej ponad ziemią, a sięgającej od horyzontu po horyzont, skrzyły się roje gwiazd, wyglądające niby klejnoty ponaszywane na drogocenną tkaninę.

W chałupach stojących rzędem po obu stronach drogi dawno już pogasły światła, od traw i ziół smużył się słodkawocierpki zapach rosy, gdzieś tam zaszczekał pies.

Cicho było, spokojnie i tak jakoś uroczyście.

Diabeł skulił się w sobie i noga za nogą lał ku skrajowi wsi, gdzie się zaczynał las, za lasem zaś cuchnące i zdradliwe bagna.

Na owych bagnach właśnie miał zamiar przycupnąć na czas jakiś, by nieco odzyskać siły przed poszukiwaniami nowej chałupy, w której mógłby zamieszkać.

Ale ponieważ był słaby i wynędzniały, tak że prędko iść nie mógł, cała noc mu minęła, zanim do owych błot dotarł.

Przysiadł zziąjany na suchej kępie traw i ziół i począł masować obolałe kopyta.

Nagle - co to? Posłyszał jakiś dźwięk, tak jakby ktoś przedzierał się przez zarośla.

Przyczał się diabeł w tataraku i rozchyliwszy nieco wyniosłe łodygi, spojrział kogóż to o tak wczesnej porze po bagnisku nosi.

A była to baba-zielarka, taka co i leczyć potrafi i umie odczynić urok. Baba owa co i raz schylała się ku ziemi i zerwawszy roślinkę jakąś wrzucała ją do lnianego worka, który dzierżyła w lewej ręce.

A przeskakując przy tym z kępy na kępę, zręcznie omijając błoto i topiel bezdenną, jednocześnie coraz bardziej zbliżała się do kryjówki diabła, który zamarł w bezruchu, w nadziei, że może nie zostanie dostrzeżony.

Przecie omylił się srodze, zielarka bowiem nieomal nań wpadła, a ujrzawszy Złego, przeraziła się tak, że aż jej dech zaparło.

Diabeł widząc, że został odkryty, podniósł się na nogi i jał wpatrywać się w babę. Baba natomiast wpatrywała się w niego. Stali tak zatem na przeciwko siebie, nie bardzo wiedząc jak zacząć rozmowę.

W końcu zielarka wzięła na odwagę:

- A cóżeś to taki lichy, czarcie? Chudyś, wyliniały, a i z pyska ci śmierdzi? Wyglądasz jakbyś z rok nie jadł!

- Oj nie rok, nie rok, ale aż siedem lat - jał utyskiwać diabeł.

- Jakże to? Aż siedem? - zdziwiła się baba. - Możliwe to abyś?

I wtedy Zły opowiedział jej wszystko o sobie, o tym gdzie do tej pory mieszkał, o dobrym spokojnym życiu Macieja i Anieli i o tym, że jeśli ludzie nie grzeszą, to on srogi głód cierpi.

Podrapała się zielarka za uchem raz i drugi, podumała chwilę, a potem w te odezwała się słowa:

- Mój ty nieboraku, głodujesz, boś głupi. Gdybym to ja miała taki problem jak ty, rychło bym znalazła nań radę.

- Tak? A jaką? - zaciekał się diabeł.

- Prosta, prosta, biesie. Nie myśl przecie, że ci ją za darmo zdradzę.

- A czy ja mówię, że za darmo? Mam tu w pobliskich rozwaliśkach starego zamczyska zakopaną nie jedną skrzynię ze skarbami. Jeśli tedy zechcesz mi pomóc, wiedz, że cię suto obdaruję i do końca życia biedy już nie zaznasz.

- Ile mi dasz, diable?

- A ile chcesz, babo?
- Jeśli napełnisz ten worek, co go mam ze sobą szczerym złotem do pełna, możesz na mnie liczyć.
- Zgoda, niech tak będzie.
- Zatem ruszajmy na powrót do wsi, nie mitrząc czasu po próżnicy.

Ponieważ zrobiło się już całkiem widno, diabłu nijako było leżeć najpierw gościńcem, a potem między chałupami w widzialnej postaci, dlatego też zamachał rękami, pomamrotał coś pod nosem i - szast, prast - rozplął się w powietrzu.

Zielarka jednak wiedziała, że ciągle jest przy niej.

Szparkim krokiem wędrowała, wzbijając stopami obłoczki kurzu, a chociaż nie była już młoda, to drogę, która zajęła diabłu całą noc, ona w pół godziny przemierzyła.

Z kominów wiejskich chałup unosiły się obłoczki siwego dymu, a nozdrzy dobiegał zapach gotowanego mleka.

Kury dostojnie przechadzały się po podwórkach, od czasu do czasu rozgrzebując ziemię, skąd wyciągały tłuste robaki. Czasem znów skubały soczyste pędy, trawę i liście.

Krowy czekały niecierpliwie, kiedyż to gospodarze wypędzą je na pastwiska porośnięte słodką i soczystą zieleniną.

Psy zaś, na widok zielarki, miały czekać i warczeć, jak owo mają we zwyczaju, umykały z podkulonymi ogonami, dobrze bowiem wiedziały, kto idzie krok w krok za nią.

Tymczasem baba dotarła wreszcie do chaty Macieja i Anieli.

Gospodarza nie było już w domu, gospodyni zasię siedziała przy stole i dostojnie podjadała kluski na mleku.

Skoro spostrzegła zielarkę, uprzejmie zaprosiła ją by usiadła wraz z nią do stołu i poczęstowała śniadaniem.

Przybyła przez czas jakiś nie odzywała się wcale, nabierała tylko na łyżkę żółciutkie kluseczki, dmuchała na nie, bo były gorące, a potem je z lubością połykała.

Ale skoro poczuła, że ma już pełny brzuch, wsparła głowę na dłoni i zagaiła:

- A powiedciez mi Anielu, jak tam wasz chłop?

- Dziękować Bogu, dobry i poczciwy. Nigdy mi złego słowa nie powiedział, nigdy na mnie ręki nie podniósł. Nie to co inni mężowie, którzy potrafią swoim żonom skórę wygarbować i złym słowem Stwórcę obrażać.

- A macie tę pewność - ciągnęła zielarka - że Maciej zawsze taki będzie?

- Cóż, pewności nie mam, no bo i skądże mieć ją mogę?

- A chcielibyście ją zyskać?

- Możliwe to aby? - zdziwiła się Aniela.

- Pewnie, że możliwe. Trzeba tylko wiedzieć co robić. Ja zaś znam ową tajemnicę.

- O, moiściewy! A zdradźcie ją, zdradźcie. Na niczym bowiem mi tak nie zależy, jak na tym, żeby mój Maciej był zawsze dla mnie jednakowo dobry.

Zielarka chrząknęła znacząco i nic nie powiedziała. Aniela w mig zrozumiała, o co jej chodzi, dlatego rzekła:

- Jeśli mi powiecie, to dam wam najpiękniejszy, najtłustszy serek, jakim wczorajszego dnia zrobiła.

- No, chyba że tak - zgodziła się zielarka. - A zatem posłuchajcie, co wam trzeba uczynić. Skoro zmierzch zapadnie weźcie brzytwę waszego Macieja i odetnijcie mu kosmyk włosów z samego wierzchu czupryny. Kiedy już to zrobicie, zawińcie ów kosmyk w czysty gałganek i zakopcie pod progiem chałupy. Jeśli wszystko owo spełnicie jak należy, gwarantuję wam, że chłop będzie dla was dobry aż do grobowej deski. Teraz zaś dajcie serek, coście go przyobiecali i pójdę dalej, bo mi spieszno.

* * *

Opowieść o smoku i dziewczynie

Przed wielu, wielu laty, w maleńkim miasteczku, położonym wśród pól porośniętych dorodną pszenicą sandomierką - białoziarną i czerwonokłosą - wśród pól kędy po miedzach rosły rozłożyste, błogi cień dające w skwarne dnie, dzikie grusze, mieszkał człek pewien.

Szczęśliwy był i ciągle wesół, bo niczego mu nie brakowało. Miał piękną, mądrą i gospodarną żonę, która obdarzyła go śliczną córeczką. Miał także spory majątek - dom w rynku, kawałeczek ogrodu i zagon pola za miastem.

Dnie upływały mu spokojnie i tylko uderzenia zegara na wieży kościelnej oraz zmieniające się pory roku mówiły, iż czas nie stoi w miejscu, lecz nieustannie podąża do przodu, wciąż do przodu...

Czegoż więcej można pożądać od losu, prócz tego, aby żołądek zawsze był pełny, grzbiet okryty, zgoda a miłość w rodzinie? Zda się, iż niczego. Tak... Lecz to nieprawda, bowiem ze wszech miar godną pożądaną rzeczą jest jeszcze zdrowie.

Pokąd dopisywało, nikt w rodzinie Mateusza - tak bowiem zwał się ów - smutny nie był. Wszakże pewnego dnia, ledwo świt rozjaśnił nieboskłon, a zbladłe gwiazdy nie uciekły jeszcze przed złotymi promieniami słońca, do kamieniczki Mateusza przyszedł gość nieproszony - choroba.

Jego żona, ogarnięta gorączką i targana dreszczami, wyschniętymi, spieczonymi wargami, co kilka chwil prosiła, aby ją napić. Nim ciemnopomarańczowa słoneczna kula skryła się o zachodzie

poza horyzontem, odeszła cicho i niepostrzeżenie do lepszego świata. Odeszła pozostawiając męża i osierocając córkę.

Rozpaczał Mateusz, płakała dziewczynka, która była na tyle duża, iż wiedziała, że nigdy więcej nie zobaczy matki. Ból obojga był wielki. Bardzo wielki, lecz nie będą nawet próbował go opisywać, czyż bowiem można opisać ból?!

Od tej pory ojciec z córką żyli cisi i milczący. Już pod dachem ich domu nie słychać było głośnego śmiechu i trudno odczytać radość beztroski na twarzach obojga.

Ojcu i córce dobrze było razem ze sobą i oboje sądzili, iż w ich życiu nic się nie odmieni, niestety, mylili się srodze.

Oto bowiem przyjaciele Mateusza, gdy usiedli z nim razem przy kuflu złocistego piwa z grubym kożuchem piany na wierzchu, przy wilgotnym sosnowym stole, w szynku znajdującym się u wylotu jednej z wąskich uliczek odchodzących od rynku, powtarzali:

- Oj Mateuszu, Mateuszu! Nie bądź głupcem. Czemuż to masz się sam męczyć na świecie? Weźże sobie jakąś babę. Ożeń się po raz wtóry! - ozwał się któryś.

- Małóż to wdów chętnych by się za mąż wydać? - dorzucił inny.

- A czemuż ty wdowy raisz? Toć to młody chłop jeszcze. Ledwo mu czterdziestka stuknęła. Na niego niejedna jeszcze młódka, niejedna panna poleci! - dopowiadał inny.

- Na niego, czy na jego majątek? - zakpił stary kuternoga, któremu ktoś w karczemnej budzie przetrzącił kulasa.

Na początku Mateusz nawet słuchać nie chciał podobnych gadek. Uważał bowiem, iż powtórny ożenek byłby nie tylko zdradą nieboszczki, ale też i jej córeczki Marty.

- Dajcie mi spokój! Dajcie spokój! - mawiał.

Lecz w miarę upływu czasu, w miarę osławiania się z tą myślą, coraz częściej rozważał w sercu rady kompanów, aż ostatecznie rzekł sam do siebie:

- A właściwie, to niby czemu nie miałbym sobie drugiej żony wziąć? Dom byłby dopilnowany, zadbany, mnie nie byłoby smutno i pusto, a Martusia miałaby opiekunkę. Co kobieca ręka w wychowaniu dziewczyny, to kobieca ręka, nie zaś męska, twarda a niezgrabna.

* * *

Była pełnia lata. Lipy kwitły woniejąc słodkawo na kościelnym placu, a z łąk rozpościerających się poza miastem, dolatywał delikatny, korzenny zapach nostryka.

Cudnie było i zielono. Słonko przygrzewało, czasem tylko kryjąc się poza woalem białych kłębiastych obłoczków.

Gdzieś ćwierkały wróble, gdzieś zaskrzeczała sroka. Zabuczał ciężki trzmiel, zabręczczała mucha. Na uliczkach miasteczka sennie było i pusto - jak to w niedzielę.

Naraz rozśpiewały się dzwony. Ich srebrzyste dźwięki radosną falą popłynęły ponad dachami kamienic.

Kościelne organy zagrały weselną muzykę. I wówczas trzymając pod rękę, przy melodii marsza, przywiódł przed ołtarz piękną pannę młodą.

Później zaś było weselisko. Stoły uginały się od najrozmaitszych potraw, gorzałka, miód i piwo lały się strumieniami. Żydowska kapela rżnęła od ucha do ucha!

Och! Takiego wesela nie pamiętali i najstarsi mieszkańcy mieściny!

Tylko Marta, zaszyta w najdalszym kąciku maleńkiego pokoiku na poddaszu, wtuliwszy twarz w poduszkę, płakała. Gorycz zalewała jej gardło, ból jakiś dziwny je ścisnął, a lzy perląc się na policzkach staczały się do kącików ust, smakując słono.

A później przyszły zwykłe, szare dni. Ojciec zapracowany i zabiegany, każdą wolną chwilkę poświęcał młodej, pięknej żonie. Nie, nie przestał kochać swojej małej Marty, ale inne ważne sprawy jakoś mu ją przesłaniały.

Macocho, chociaż nienawidziła dziewczynki z całej mocy, z głębi duszy, i dokuczała jej na każdym kroku, karała wynalazszy byle pretekst, przy mężu i przy obcych ludziach udawała, że jest dla niej czułą matką, czułą i troskliwą.

Lata płynęły, Marta rosła i nic się nie zmieniało. Nie zmieniało, aż do czasu kiedy macosze najpierw urodziła się jedna córka, a później druga.

Teraz już, pewna swej przewagi, nie kryła się z niczym. Potrafiła dotkliwie pobić sierotę nawet i w obecności ojca, a gdy ów próbował dziewczynki bronić, wrzeszczała, ile tylko sił miała w gardle:

- Toś ty taki?! Łotrze jeden! Dla swojej Martusi, gotówes poświęcić i mnie i swoje maleńkie córeczki! Pójdę między ludzi! Wszystko im opowiem! Opowiem o twym okrucieństwie i niesprawiedliwości.

Na końcu zaś, zwykle zaczynała piszczeć tak przeraźliwie, iż ją chyba było słyhać i w sąsiednich domach.

Mateusz zatem - dla świętego spokoju - milkł i machając ręką, odchodził. Macocha, widząc, swoją nad nim wyższość, rozpanoszyła się okrutnie i ster rządów w domu całkowicie przejęła.

Mąż jadał mało i skąpo, Marta zamieszkała w schowku pod schodami, a tylko piękna żona i jej dwie córeczki żyły lepiej niżli niejedna szlachcianka z bogatego pałacu.

Sypiały na jedwabiach, ubierały się w najbogatsze stroje, spożywały najwykwintniejsze potrawy, nie skąpiły sobie łakoci. Słowem - rajski wiodły żywot.

Dla Marty zaś były tylko stare łąchy, połatane i wyszarzałe, a do jedzenia resztki z obiadu - przeważnie to, co którejs z dwu młodszych sióstr nie mogło się już zmieścić do żołądka.

Choć dziewczynka miała żal do ojca, za to, iż to przez ów niewczesny, a nie przemyślany ożenek wpadł w taką biedę, to przecież nie skarżyła się na swój los wiedząc że przecież skargą i tak niczego nie zmieni, a rodzicielowi tylko sprawi przykrość. Rozumiała

O pięknej królownie i złej macosze

Ranek wstał pochmurny. Siwe kłaki mgły smużyły się leniwie w głębi parowów, otaczających dość wysokie wzgórze o stromych zboczach, które pionowymi obrywami broniły dostępu do królewskiej siedziby wieńczącej jego szczyt.

Nagie gałęzie drzew w parku, czarnymi krechami rysowały się na tle ołowianosinego nieba, a setki gawronów zwartym stadem kołowały ponad miastem rozsiadłym u stóp zamkowego wzgórza.

Kołowały z dostojeństwem, kracząc przy tym donośnie. Rozpostarłszy szeroko skrzydła, pozwalały się nieść łagodnemu wietrzykowi na żerowiska okolicznych pól.

Miasto powoli budziło się do życia. Słyszać było wózki przepukniów turkocące po wyboistym bruku, nierównościach kocich łbów, wiozące towar na stragany ustawione wokół rynku. Od bram dobiegał zaś odgłos skrzypienia nie nasmarowanych osi chłopskich fur, wyładowanych wszystkim, co tylko wydać może urodzajna ziemia.

Skądś dało się słyszeć nawoływania, ówdzie rozlegał się śmiech, a kościelne dzwony perlistymi dźwiękami wzywały ludzi na poranne msze.

Król wcale nie kładł się owej nocy, a teraz stał - nie bacząc na zimno listopadowego poranka - w otwartym oknie. Zaciskał palce na kamiennej framudze tak mocno, iż pobiełały mu knykcie. Obserwując go z dala, można by sądzić, że podziwiał krajobraz rozpostarty przed nim szeroką panoramą, ale król patrzył nań niewidzą-

cymi oczyma, z których płynęły łzy. Nie szlochał. Płakał bezgłośnie, tylko usta wykrzywione w bolesnym grymasie mówiły, iż bardzo cierpi.

A miał powód by cierpieć, bo oto pożegnał na zawsze swą królową która cicho i spokojnie, po życiu krótkim, choć pełnym cierpienia, odeszła do innego, lepszego świata. Odeszła tam, skąd się nie powraca, a dokąd wcześniej czy później odejść musi każdy człowiek.

I choć przygotowany był na śmierć tej, którą ukochał był całym swoim sercem, bo choroba przykuła ją do łoża przed wieloma miesiącami, to jednak teraz nie mógł powstrzymać łez bólu i rozpacz.

Oto przebiegał myślą wszystkie wspólnie przeżyte dni, od dnia ślubu - radosnego, pełnego dźwięku organów, dymów kadzideł w katedralnym kościele, kędy biskup błogosławił ich małżeństwu, przepychu toalet weselnych gości, muzyki, rozgwaru, śmiechu... aż po dzień inny, który zarówno radosny był i smutny. Po dzień narodzin ich córeczki.

Od owego zdarzenia bowiem, w miarę jak dziecko rosło, matka słabła. Próżno najtężsi lekarze próbowali przywrócić jej siły. Nie pomagały żadne eliksiry, ni odwary z ziół, ni kąpiele, ni maści...

Aż wreszcie nadszedł kres, nadeszła noc ostatnia, podczas której śmierć uciszyła wszystkie bóle królowej na zawsze, a król został na świecie sam, mając być dla maleńkiej księżniczki i ojcem i matką.

Pogrzeb królowej odbył się z całym przepychem, jaki zwykł był towarzyszyć pogrzebowi władców. Zmarłą na miejsce wiecznego spoczynku odprowadzały nieprzebrane tłumy poddanych, którzy ściągnęli do stolicy by wziąć udział w owych smutnych obrzędach nie tyle z miłości do swej pani, ile raczej z ciekawości, a przede wszystkim dlatego, iż pogrzebowi miało towarzyszyć bezpłatne rozdawanie chleba.

Nad wspaniałą trumną wykutą z mosiężnej blachy, zdobną w herby królestwa i roślinne ornamenty, jeden tylko król cierpiał

naprawdę, chociaż oczy miał suche, bo już wcześniej wyciekły z nich wszystkie łzy.

Gdy nad trumną zasunięto ciężką płytę sarkofagu wyrzezanego z jednego bloku czarnego marmuru, żałobnicy rozeszli się, każdy w swoją stronę, i tylko władca pozostał w podziemiach katedry. Klęczał długo jeszcze, jakby bojąc się, iż jego odejście może ostatecznie zerwać ową nić łączącą go ze zmarłą żoną. Lecz w końcu przecież musiał to uczynić.

Odtąd dni płynęły mu w smutku, a pociechą była córeczka, jedyna radość jaka pozostała władcy. Drżał o nią, lękał się aby nic złego nie spotkało dziecka. Nocami czuwał u wezgłowia kołyski i chociaż niańki i mamki otaczały dziewczynkę jak najczulszą opieką, jemu się zdawało, że skoro nie ma matki, dzieje się jej krzywda.

Przemijały tygodnie, przemijały miesiące, zmieniały się pory roku. Księżniczka Joanna siadała już o własnych siłach, gaworzyła, wyciągała do góry ręce i śmiała się ślicznie jak chyba żadne dziecko nie potrafi.

Godzinami całymi król bawił się z nią, zaniedbując sprawy państwowe, co budziło niepokój ministrów. Aż wreszcie najstarszy z nich - tak wiekiem, jak i znaczeniem - odważył się w ten sposób przemówić do władcy:

- Miłościwy panie! Żaden mężczyzna nie zastąpił jeszcze i nie zastąpi dziecku matki. Jego rolą jest być ojcem, a to zgoła co innego, choć przecie odpowiedzialność nie mniejsza! Zatem, mimo twych ustawicznych starań, nie możesz dać księżniczce tego, co mogłaby jej zapewnić kobieca opieka.

- Czyż, miłościwy panie - ciągnął dalej - będziesz umiał nauczyć ją na przykład haftować? A przecież prędzej w tym winna być biegła królewska córka, niż w robieniu mieczem, co mógłbyś jej pokazać. Raczej pozwól na więcej niańkom, a sam odsuń się od dziecka nieco, a wyjdzie mu to na lepsze.

Król nic na owo nie odrzekł, ale zamyślił się głęboko.

I chodził zadumany długo, mało co odzywając się do dworzan, by wreszcie dość nieoczekiwanie zwołać do sali tronowej wszystkich dostojników państwa i tak do nich przemówić:

- Długo rozważałem słowa pierwszego ministra, aby w końcu przyznać mu rację. To prawda, że mężczyzna nie może sam jeden wychowywać córki. Potrzebna jej bowiem matczyzna opieka. Ponieważ jednak królowna Joanna nie ma matki, a mieć ją powinna, postanowiłem ponownie się ożenić. Nie myślcie jednak, iż pamięć zmarłej królowej przestała być mi droga. To nie czczy zachcianka skłania mnie do ożenku, ale wyłącznie dobro dziecka.

Gdy wieść o decyzji króla rozeszła się po kraju wszyscy odetchnęli z ulgą. Oto bowiem władca na powrót miał się zająć tym, co do niego należało - a więc troszczyć się o sprawy państwa, umacniać warownie, strzec granic, budować miasta...

Jeden tylko minister spraw zagranicznych nie był wesół. Miał bowiem ciężki orzech do zgryzienia, ponieważ król uparcie odrzucał kandydaturę każdej z zaproponowanych mu na żonę księżniczek, córek ościennych władców. Twierdził iż nową matką dla jego córeczki może zostać wyłącznie dziewczyna pochodząca z ich kraju.

Próżno minister tłumaczył, próżno nalegał, ba! próżno nawet groził, iż porzuci swój urząd, jeżeli władca popełni to głupstwo i pojmie za małżonkę własną poddaną. Król nieodmiennie wzruszał ramionami i trwał w uporze.

Cóż było począć? Kilku zaufanych dworzan rozeszło się zatem po całym państwie wypatrując w zamkach wielmożów, w szlacheckich dworach, mieszczańskich kamienicach, a i w chłopskich chałtach także, dziewcząt pięknych, powabnych i niegłupich.

Choć dość długo trwały owe poszukiwania, to uwieńczył je sukces, bo wybrana przez dostojników dworskich dziewczyna była śliczna niczym brzoźka, gdy wczesną wiosną okryje się młodziutkim listowiem, tak delikatna jak tchnienie wschodniego wietrzyku w upalny dzień sierpniowy, a mądra niczym najmędrszy z mniichów, którzy piszą i przepisują księgi.

Niestety, miała ona jedną szkaradną wadę, aczkolwiek dającą się bez trudu ukryć. Była ponad wszelką miarę żądna władzy. Gdyby król o tym wiedział, pewnie by jej nie poślubił.

Stało się jednak inaczej - był ślub, huczne weselisko, później zaś głowę młodej żony zwieńczyła, kuta ze szczerozłotego kruszcu, wspaniała korona - symbol władzy monarszej.

Nie w smak było dworzanom, nie w smak szlachetnie urodzonym, iż nie księżniczka krwi została ich panią, ale zwyczajna poddanka.

Nikt się jednak nie odważył protestować głośno, bojąc się pańskiego gniewu i niełaski. W duchu jednak wielu mówiło sobie, iż z owego ożenku nic dobrego nie wyniknie, ani dla kraju, ani dla rodziny królewskiej.

Młoda pani wszakże zachowywała się nadzwyczaj godnie, a ponadto była tak czuła dla męża i jego maleńkiej córeczki, iż nawet ci którzy byli jej najbardziej niechętni, poczęli zmieniać zdanie.

Ale owa sielanka nie trwała długo. Nim minął rok od dnia ślubu, król podupadł na zdrowiu, wysechł, szcerniał i zesłabł tak bardzo, iż większość czasu spędzał w łożu, sprawy państwa poruczywszy pięknej żonie.

Aż pewnego ranka, pokojowiec władcy, który wszedł do monarszej sypialni ze śniadaniem, spostrzegł, iż jego pan przeniósł się cicho i niepostrzeżenie do lepszego świata, zostawiając wszystkie bóle i całą nędzę żywota na tym padole smutku, na którym więcej słyhać szlochań, aniżeli beztroskiego śmiechu.

Od tej chwili królowa stała się jedyną i niepodzielną panią kraju. Władza jaką sprawowała upajała ją niczym mocne wino, uprawiała o najwyższą rozkosz i stanowiła jedyny sens życia.

Przepędziła precz dawnych ministrów, przegoniła dawnych doradców. Otoczyła się zaufanymi ludźmi, którzy do tej pory sprawowali jedynie podlejsze i mało ważne funkcje. A oni, wyniesieni z nagła na sam szczyt, najwyższych dostąpiwszy dostojęństw, z wdzięczności dla swej dobrodziejki gotowi byli spełniać wszelkie jej rozkazy.

Źle działo się w państwie. Skarbiec pęczniał i pęczniały kieszenie dworaków. Prosty lud zaś poczuł na karkach ciężką rękę nowej pani, wdychając teraz żałośnie do dawnych czasów, w których panował ład i porządek, i prawo. Do czasów, w których każdy znał swoje miejsce, swoje przywileje i obowiązki, mogąc przewidzieć, co też przyniesie dzień jutrzejszy, pozajutrzejszy, czy bardziej odległy nawet. Teraz zaś żyło się w lęku, pracowało z lękiem, lęk budził ludzi, tak, iż nasłuchiwali czyli do ich uszu nie doleci odgłos ciężkich kroków zbrojnych, idących wyzuć ich z mienia, a często i pozbawić życia. Jeśli akurat spodobało się to władczyni, albo któremuś z jej zauszników. I tak płynęły miesiące i lata.

Prosty lud i prawie cała szlachta z jednakim utęsknieniem czekali aż dorośnie księżniczka Joanna, prawa dziedziczka ojcowskiego tronu, aż zasiądzie na nim, ująwszy w dłonie berło i jabłko, a głowę zwieńczy koroną. Wszyscy wdychali do dnia, w którym królowa - regentka będzie musiała wyrzec się swej władzy.

A ona również myślała o owej chwili, gdy przyjdzie ustąpić miejsca w sali tronowej córce zmarłego męża. Nie były to wszakże wesołe rozmyślenia. Pocieszała się jednocześnie, iż być może Joanna nie każe jej odejść, całkowicie usunąć w cień, lecz że panować będą wspólnie.

Rychło uprzytomniła sobie, iż przecie Joanna poślubi jakiegoś królewicza czy księcia, a ów bez wątpienia przepędzi regentkę, nie pozwalając się nikomu postronnemu wtrącać do spraw państwa.

I wówczas ogarniał ją lęk i przerażenie, bo nie umiała już wyobrazić sobie życia innego jak to, które wiodła od śmierci króla.

Któregoś dnia, gdy strach przed utratą władzy silniej niż zwykle schwyił ją w swe szpony, w na wpół obłąkanym mózgu poczęła kiełkować myśl pewna. Myśl zła i okrutna „- Oto przecie może pozbyć się Joanny... Może kazać Joannę... zgładzić...”

* * *

Spis treści

Bajka o chłopie, smoku, lisicy i kurach	5
O uczniu czarnoksiężnika	12
Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle	32
Opowieść o smoku i dziewczynie	43
O pięknej królownie i złej macosze	60
O parze staruszków i ich przybranym synu	102
O dziewczynie, która pokochała Księżyc	109
Królowna i wąż	114